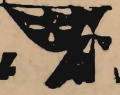


TYDZIEŃ TEATRALNY



Jeszcze jesteśmy w przedśmionku sezonu. „Fizyków” Dürrenmatta grano w Kameralnym jeszcze przed wakacjami, ale zmiany w obsadzie typują to przedstawienie (reż. J. Jarockiego, scenogr. A. Cybulskiego) jako premierowe. Słowo „premierowe” można tu odnieść także do rangi przedstawienia — jako pierwszorzędnego. O sztuce i pierwotnym wykonaniu pisałem już w lipcowym Tygodniu. W obecnym wykonaniu przedstawienie jest „dokręcone”, więc świetnie wyrównane i wycieniowane, jednym słowem — znakomite.

Nową rolę bohatera sztuki Moebiusa w wykonaniu L. Herdegena uważam za wybitne osiągnięcie tego aktora — może najciekawsze z ostatnich jego ról — w zakresie pełnej charakterystyki postaci, ogniskującej w sobie istotny problem sztuki. Cały kryzys moralny epoki atomowej, znużenie, lęk i heroiczny wysilek obrony postawy humanistycznej scalił Herdegen w swej roli, szczerze ludzkiej, wolnej od łatwej deklaratywności. Sensacyjny dramat Moebiusa rozegrał Herdegen z pełnym wyrazem i pokryciem, a przy tym z zadziwiającą oszczędnością środków. W ogóle chwalebna dyskrekcja i umiar cechują całe przedstawienie. Wykazał te zalety również R. Filipski w roli Newtona, traktując interesująco różnolite „maski” fizyka-szpiega na pograniczu udanej alienacji, teatralnej pozycji i rewolwerowej konspiracji. Tu powściągliwość jest znacznym osiągnięciem Filipskiego, znanego dotąd ze sceny Rozmaitości z przyrodzonej żywiołowości, wichrującej niekiedy najlepsze jego role.

Z dawnej obsady czołowych ról M. Jastrzębski uzyskał obecnie pełniejszą sylwetkę trzeciego „fizyka” Ernesta (Einsteina). Z. Niwińska potwierdziła swą klasę w roli garbatej i demonicznej „dziewicy” — Doktora Matyldy, zadziwiając pewnością przecharakteryzowania się i skalą ekspresji. Tak to cały zespół i reżyser, i scenograf trafnie wydali ton sztuki Dürrenmatta, symbolizujący paradoksy wieku atomowego. Scisk na sali i żywy odbiór rokuje temu przedstawieniu dłuższą i zasłużoną karierę.

Również zeszłosezonowym przedstawieniem jest „Dożywocie” Fredry w Nowej Hucie. Kłopot w tym, jak grać tę komedię, której sprężyną jest dożywocie — instytucja prawna zupełnie nieznaną dzisiejszemu widzowi? A z niej to płyną wszystkie zabawne komplikacje intrygi. Bo Łatka, sknera i lichwiarz bez czci i wiary, dba najczulej o zdrowie Birbanckiego. Dlaczego? Bo włożył w podopiecznego kapitał (trudno, tak niegdyś było), który przypadnie, jeśli Birbancki umrze. Jak więc ten niedzielski proceder uczynić dziś zrozumiałym? Czy grać komedię stylową, czy absurdalną farsę współczesną?

Reżyser W. Laskowska obrala tę drugą drogę. Unowocześniła Dożywocie chwytami farsowymi i cyrkowymi, zaciemniając przy tym i tak niebardzo rozumiałą intrygę. Na tle dowcipnego prospektu epoki (W. Krakowskiego), ale w szmatach i łatach, wśród groteskowych sylwetek rekwizytów, w ferworze obłąkanego gadulstwa — przepadł wiersz fredrowski, a także żywość i celność słowa. Rzadko tylko wypunktowano jędrne kwestie — i one to właśnie budziły wesolość. Bo nie — całość obrazu scenicznego, wykoślawiona karykaturalnie i odwodząca widza z powodzeniem od śmiechu. Widać tu, jak trudno jest we współczesnym naszym teatrze o prawdziwą wesolość tekstu.

W. Pyrkosz grał Łatkę. Po co tu przypominać sławną kreację Solskiego? Nie ma sensu. Tym bardziej, że Solski, przy całym mistrzostwie tej groteski skąpstwa, nadawał jej cechy niemal tragiczne oraz starczo ruchliwe. Pyrkosz jest w kłopotach Łatki beztroski i młody, co wprawdzie przeczy tekstowi, ale usprawiedliwia znów konkury Łatki do Rózi. A ruchliwość i zapobiegliwość skucry zamienia Pyrkosz na obrotność pół-arlekina, pół-agara, pobudzając niekiedy do śmiechu. Nie wydaje mi się jednak, by tak potraktowana rola miała coś wspólnego z postacią komedii Fredry, który skomplikował w niej arcyciekawie prototyp molierowskiego Skąpca.

Z pozostałego zespołu jeden F. Matysik był w zgodzie ze swą rolą Birbanckiego. Zagrał tego lekkoducha z miłą swobodą, temperamentem i humorem. Ale niestety — trudno uważać w całości to przedstawienie za udane.